

Urok Połczyna Zdroju doceniają nie tylko kuracjusze i turyści, ale również mieszkańcy. Szczególne miejsce zajmuje Nasze Miasto w sercach tych, którzy opuścili rodzinne strony. Niektórzy z nich noszą w sobie tak piękne wspomnienia, że na cześć swojej małej ojczyzny układają równie piękne rymy...

Ryszard Ulicki

Sonatina Połczyńska

Ja tamten dom pamiętam dobrze:
W długim ogrodzie pośród drzew,
Przy Sobieskiego, gdzie przechodnia
Codziennie witał ptasi śpiew.
Drewniany płot przychylny drodze
Pozdrowiał domu stromy dach,
A pod tym dachem strych się tulił,
A na tym strychu mieszkał strach.
Lecz kiedy strach z porannym słońcem
Zmykał do piwnic albo w sień,
Wchodziłem z bratem, by pod gontem
Odwagi pierwszej znaleźć cień.
I nigdy tam nie odnalazłem,
Odwagi takiej ani mocy,
Która pozwala drwić z ciemności,
Albo odbiera straszność nocy.
Więc zawsze tam stawałem trwożny,
Gdzie przez dachówki – słońca gońce
Czyniły ciepłym blaskiem złotym,
Świetlisty – jasny – dobry koncert.
I szedłem ufny tym igraniom tam,
Gdzie się światła promień sączył,
A kiedy gasła nagle jasność,
Mój dzielny zapał też się kończył.

Był w domu azyl – pokój jasny
Z oknem wpatrzonym w jasne drzewa
I był w pokoju piec zielony,
A w piecu wiatr, co umiał śpiewać.
I chociaż było niebezpiecznie,
To tam bezpiecznie było wielce,

Bo wokół sąsiad przy sąsiedzie:
 Tam Marciszonki – tu Tylmany,
 A zaraz obok bracia Grzelce.

W miasteczku było stare kino,
 A obok kina mały sklep.
 Sklep ogrodniczy – z nasionami,
 A w kinie grali – „Czarci Żleb”.
 Był w środku miasta Plac Wolności,
 Plac pryncypialny, z urzędami,
 Apteką rządził pan aptekarz,
 Ten, co dowodził strażakami.
 Gdy się zakochał w przyszłej żonie
 Do niepamięci i do łez,
 To ona w listach mu pisała:
 Pan wie, jak sercu ciężko jest!
 Więc on z rozpaczy suszył piołun
 I tkał z goryczy zielny szal,
 Wieczorem stawał przed kościołem
 I niebu zwierzał straszny żal,
 Zaś na receptach pisał wiersze,
 A w wierszach tylko „smęt” i „dal”.

Za domem moich pierwszych marzeń
 Płynęła rzeka - nie ta z map,
 Lecz każda struga bywa rzeką,
 Gdy mały człowiek ma pięć lat,
 Ale ta woda mi wróżyła,
 Że jest gdzieś inny – większy świat.
 Ile ja razy w tamtej rzece
 Topiłem pierwszy życia żal?
 I byłem małym aptekarzem,
 Który już poznał „smęt” i „dal”.

Tam wszystkich leczył doktor Kusy,
 Do dzisiaj po nim zdrowie mam,
 A przy ryneczku pan Rymgajłło
 Miał z pigułkami cały kram.
 Wśród aptekarzy strażak pierwszy.
 Generalissimus – OSP,
 Ja jego mundur z orderami
 Po nocach nieraz jeszcze śnię.

Był w mieście rynek malowany,
 Mały rynecek – środek snów.
 Nad rynkiem zawsze słońce stało,
 A nocą tylko pełny nów.
 Strażacki oddział grał muzykę,
 Muzykę głośną, bo blaszaną
 I drżały mury w małym rynku
 Jak kościół, który drży hosanną.
 Ja oniemiałem od harmonii
 Mundurów, blach i barwy nieba,
 A potem liżąc krem od Kęski,
 Marzyłem o tym, żeby śpiewać.
 I wtedy duszę nastroiłem,
 Ptakami nad orkiestrą jasną,
 A w sercu sobie zapisałem
 Najpierwszych marzeń moich miasto.
 I potem żadna już orkiestra
 Nie zapadała w serca rymem,
 Choć ich muzyka była nieraz,
 Jasnością jasną, ogniem, hymnem.
 Jeżeli kiedyś łzy składałem
 W nowych ołtarzach nowych wzruszeń,
 To każdej łzy cząsteczkę pierwszą
 Tamtej orkiestrze oddać muszę.

To były czasy wielkich zdarzeń.
 Pamiętam w maju padał śnieg,
 Pan burmistrz Rajner szedł w pochodzie,
 A rzeźnik flagą zdołał sklep.
 Przyjechał tabor z Cyganami.
 Ci kradną dzieci – mówił brat,
 A mnie ten tabor śnił się potem
 I jakiś inny lepszy świat.

Ktoś w nocy załomotał w okno.
 Kredą napisał - „świnio ty”,
 A ojciec łódzki socjalista,
 Sam rano dobrze umył drzwi.
 O przebieg tamtej nocy groźnej,
 Milicjant Maras pytał nas,
 Bo tych napisów było więcej...

Signum temporis –
Ma swoje znaki każdy czas

Mieliśmy kozę mlekodajną
I budę pełną małych psów,
I własny adres – niespodzianie,
Bo nie był z ojca łódzkich snów.
Ulica Gdańska, róg Andrzeja...
Łódź i Piotrkowska – to był świat,
Który powracał jak poemat,
Coraz mniej piękny z biegiem lat.

Wszystko widziałem pierwszy raz!
Balony lżejsze od powietrza,
I chłopca, który z drzewa spadł,
A gdy go lekarz zbadać chciał,
To cicho szeptał – „nie trza, nie trza”...
I karuzeli czułem pęd,
Co chęć wyzwala przerażoną,
Były wyścigi – koński spęd
I chmara ludzi – roztańczona.
Widziałem kramy hojne tak,
Że ich opisać nie potrafię,
Niedźwiedzia, który tańczył w takt
I pierwszą własną fotografię.
Krzywe zwierciadła i strzelnice,
Loterię z magią barwnych wstąg
I wóz strażacki z wielką pompą
I papierowych kwiatów pęk.

Pamiętam, jak przyjechać miał
Borkowicz – Wojewoda.
W Połczynie matkę swoją miał,
Służyła jej połczyńska woda.
Ach, co się działo! Urząd drżał.
Czyszczono staw w zdrojowym parku,
Pan burmistrz na rogatkach stał,
Licząc minuty na zegarku.
I nie pomyślał wtedy, że
Historii pewnej to początek,
W niej wojewodów cały rój,
A zwłaszcza wojewoda Wziątek.

Minęło ponad wieku pół.
Nic nie przyćmiło moich wspomnień.
Wystarczy stanąć – w ciszy trwać
I zaraz wszystko wraca do mnie.
To tamten świat mi baśni serce,
Choć czasu siłą barwy bledną.
Lecz nic nie zatrze tamtych barw.
Z nimi do końca będę jedno!

Koszalin, 1988 - 2005